KOLEDZE

i

EUGENIUSZOWI

SAKOWICZOWI

K. F. PASTERNAK.

MAYSTER BARTŁOMIEY

I.

Roku 1620, o godzinie szóstej wieczorem, męszczyzna małego wzrostu pukał do drzwi domku położonego w Krakowie, blisko Florjańskiej bramy. Za każdém stuknie-

niem posyłał do mieszkańców domu przeklęstwo jakie dobitne, głosem ochrzypłym wymówione, i za każdém stuknieniem i przeklęstwem, z jednego okna domu, odzywał się głos mocny i gruby oddający stukającemu wszystkie jego wykrzykniki z przynależytym procentem. Na ulicy było ciemno, stukający czepiał się próżno klamki.

— Panie Bartłomieju! wołał dobijający się ochrzypłym i niewyraźnym głosem — puść mię — do sto tysięcy szatanów, albo cię jutro Jezuici wyklną z duszą, ciałem, kość-

mi, szpikiem, głową, nogami, z twojemi wszystkiemi bezbożnemi apparatami, z twoją synowicą, z twoim domem — no otwórz, do miliona pięćkroć sto tysięcy!!!

Gruby, tubalny głos odezwał się odpowiadając z okna:

— Hej! co mi za chwat! a komuż to waszmość tak roskazujesz?? Hę? — czyli — kto jest ten, komu dajesz roskazy, albo — do kogo ten twój roskaz się stosuje, gdyż wszystkie te sposoby mówienia na jedno wychodzą. Możesz się sobie Mosanie Rupercie trochę przechłodzić

na ulicy — w twojej głowie i tak częstokroć nadto jest ognia, czyli inaczej mówiąc, twoja głowa nadto jest ognista — albo, obróciwszy to w inny sposób—ogień panuje w twojej głowie, ochłodź się i idź do domu, bo ja cię niepuszczę — niech mnie piorun trzaśnie, że niepuszczę — czyli niech od piorunu będę ubity — jeśli cię puszczę, idź precz.

— Ej! Majstrze Bartłomieju — odezwał się z dołu Rupert. Puść, bo jutro pójdę do Jezuitów, do Króla i wydam ciebie, że jesteś czarownik, heretyk, arjanin, socynianin—

psia głowa — będę prosić i wyproszę, że ci łeb utną, poćwiertują, że cię spalą na stosie, oskubią, oćwiczą i usmażą w gorącej smole.

— Brednie! odpowiedział tubalny głos Majstra Bartłomieja, brednie niegodne mojej uwagi, czyli niezasługujące brednie, aby na nich moja uwaga spoczęła — nic z twoich zamiarów nie będzie— Idź precz, bo ci drzwi nie otworzę, a jeśli chcesz zresztą, żebym ci drzwi moje otworzył, przysiąż mi, że zaprzestaniesz twoich figlów, że mi oddasz skradzioną szklanną banię.

— Puszczajże no tylko — puszczaj! wołał ciągle Rupert, oddam ci kulę twoją — przysięgam na moją głowę, i na twój bót dziurawy — i na okuty kuferek stojący w głowach twego łóżka.

— A! niegodziwy człowiecze — odezwał się z okna głos gruby. Ty śledzisz moich pieniędzy, ty mię chcesz okraść, chcesz mię zgubić — czyli — chcesz, abym został zgubiony, albo — żądasz mojej zguby — precz — precz — niepuszczę cię.

— No — no — uspokój się panie Majstrze, odpowiedział głos z do-

łu, poparty silném uderzeniem we drzwi — przysięgam ci na twój bót dziurawy i na czarne oczy twojej synowicy, że nie mam wcale nagabania do twojej szkatułki, ani do ciebie, ani do żadnej rzeczy, która twoją jest — puść mię tylko niech się ogrzeję.

W tej chwili gruby głos Majstra odezwał się parę razy w środku domu, słychać było obracający się klucz w zamku, drzwi się otworzyły i maleńka postać wcisnęła się do domu, pobiegła po wschodach, ucze-

piła się na klamce jednego pokoju i weszła. Izba do której weszła mała postać, nazwana Rupertem, była ciasna, lecz wysoka, ściany jej szare i okopcone wznosiły się pod sufit, w którym wyrobione było okno, rzucające na nią blady promień światła. W kącie stała lampa oliwna na stoliku, a na ścianie zegar powolnym jękiem milczenie przerywał. Swiatło lampy odkryło twarze obudwu osób. Wchodzący Rupert, był małą półtora łokciową figurką. Garb wisiał mu na plecach, cieniuchne podpierały go nóżki, miał gło-

wę ogromną nakształt wiadra, i długie ręce wiszące jak cepy. Na twarzy dawał się widzieć nos mały, garbaty i zadarty, oczy wpadłe, lecz palne, szczęki suche i kościste, usta zgięte w półokrąg ku dołowi. Żartobliwą tę twarzyczkę zdobiła czupryna złożona z niewielkiej ilości włosów jasnych i prawie białych. Zamiast ubioru tegoczesnego miał długą szafirową suknią obszywaną złotym galonem, na nogach pończochy, z których jedna była niebieska z białym i zielonym klinem, druga czerwona z żółtym i ponsowym,

przytém ciężkie trzewiki z ołowianemi klamrami niezgrabnie wyrabianemi.

Pan Bartłomiej był człowiek bardzo otyły, tak iż się ledwie mógł poruszać, którego grubość, szerokość i długość były równe, co mu czworogranną nadawało postać. Miał głowę wielką, twarz długą, głowę spiczastą, ręce krótkie, nogi grube i małe. Oczy szare i zimne, twarz bladą jak papier; okrywała go kapota ponsowa, a na głowie miał aksamitną z złotym kutasem, wyszarzaną, tegoż koloru czapeczkę.

Dwaj ci Ichmość, spójrzeli po sobie, a mała poczwarka rozśmiała się szyderskim, prawdziwie piekielnym uśmiechem.

— No Majstrze Bartłomieju, zawołał mały, gdybym nie był twoim przyjacielem — dalibóg wyłajałbym cię porządnie za to, żeś mię tak długo trzymał pod drzwiami. Na ci twoją kulę, rzekł rzucając cóś okrągłego na podłogę. Majster Bartłomiej chciał się nachylić, ale mu brzuch uczynić tego niedozwolił. Rupert podał mu kulę, a Majster cofnął się parę kro-

ków.— To trupia głowa!! zawołał.

— Ha! ha! ha! pisnął szydersko Rupert, schowaj ją, schowaj — przerobisz ją na złoto — Hę? Jak się ma twoja synowica?

— Zdrowa, mój panie — odpowiedział Bartłomiej — zdrowa dzięki Bogu, czyli Bogu dzięki, iż ma dobre zdrowie, albo dziękować należy Najwyższemu, iż ją przy zdrowiu zachowuje.

— I, porzuć Wasze, te swoje baje — przerwał Rupert, mam ci cóś ważniejszego powiedzieć— ja chciałbym się żenić z twoją synowicą.

Bartłomiej wytrzeszczył oczy i uszy nastawił — kto? — zawołał nareście — ty mała poczwaro?

— Ja! rzekł ze śmiechem mały— ja sam — chcę się żenić i kto wie, może się ożenię.

Spiew, który blisko drzwi dał się słyszeć, przerwał rozmowę, i w parę chwil weszła dziewczyna młoda ładna jak Madonna Rafaela, z obłąkanym wzrokiem, ubrana w bieli, z rozrzuconemi włosami.

Weszła i stanęła wpatrując się w Ruperta, który się zgarbił, otworzył oczy, jakby ją niemi chciał poł-

knąć, i pokazał z uśmiechającej się gęby, długi regestr czarnych zębów.

— Dobry wieczór — rzekł chropawym głosem Rupert — widziałaś się Panna zapewne dzisiaj z Tobijaszem.

— O! widziałam się odpowiedziała dziewczyna — mój Tobijasz codzień mię odwiedza.

— No! a czy wieszże Panna najświeższą nowinę? zapytała się poczwarka przybliżając.

— Jaką?

— Że ja się żenię.

— Do prawdy??

— Najpewniej, żenię się z Waćpanną.

— Ktoż to Waszmości powiedział — zapytała dziewczyna poważnie — proszę sobie tę nowinę wybić z głowy — pierwiej Turcy modlić się będą w kościele Panny Maryi, nim się to sprawdzi.

— Zobaczym! rzekł Rupert ruszając ramionami, a dziewczyna wzięła z kąta ogromną leżącą tam księgę i wyszła.

— Majstrze Bartłomieju! zawołał Rupert — czy lubisz złoto?

— Złoto — odpowiedział zaga-

dniony z miną, jaką ma Samarytanin w obrazie Rafaela Sgo Jana każącego na puszczy — złoto, jest kluczem do świątyni szczęścia, czyli kluczem do świątyni szczęścia, jest złoto, albo, złoto jest kluczem, który nam drzwi do świątyni szczęścia otwiera — jakbym go miał nielubić?

— Chciałżebyś go zarobić tyle, ile się niepomieści w największy twój kufer, ile go nieboszczka Pani Bona nie miała?

Oczy Bartłomieja zajaśniały, jak dwie pochodnie.

— Siadaj Panie Rupercie, siadaj,

zawołał, czyli bądź siedzącym, albo, niech ten stołek będzie tobie siedzeniem — mów, mów, gdzie jest to złoto??

— Złoto, odpowiedział powolnie Rupert wlepiając w niego jaskrawe oczy — złoto — jest u ciebie w szkatułkach!

Majster zniecierpliwiony i oszukany w oczekiwaniu, porwał się z krzesła trzęsąc ogromnym brzuchem.

— Ja, rzekł płaczliwie, jestem ubogi, bardzo ubogi, ja nie mam złota, czyli złoto nie jest u mnie,

albo, nie u mnie złota szukać należy!

Mały siedział i z złośliwym uśmiechem radości wpatrywał się w męczarnie Majstra, który niespokojny o swoje złoto, przybliżał się coraz ku miejscu, w którém jego skarby zostawały, aby ich bronić swoją osobą.

— No! przysiągłeś — rzekł nareście Majster Bartłomiej obracając się ze swego stanowiska do Ruperta — kiedyś jeszcze dzwonił zębami przed bramą, przysiągłeś, mówię, że mię ciągle dręczyć nie będziesz, a teraz niedotrzymujesz słowa.

— Jak to niedotrzymuję? rzekł Rupert, czyliż mowa o złocie, tak ci jest nie miła? Ale — dodał, mówmy wyraźniej, mogę do twoich skarbów, przydać tyle, ile ci się podoba, jeśli się podejmiesz być pomocnikiem w pewnej delikatnej sprawie.

— Cóż takiego? ciekawie zapytał Majster.

— Będziesz mi pomagał, przerobić jednego starca, na młodego człowieka.

— A któż to potrafi?

— Ja — rzekł uśmiechając się Rupert.

— Ty? W imie Oyca i Syna— odstępując na kilka kroków zawołał Bartłomiej — człowiecze — co pleciesz? czyli co twój język wyrzekł, albo, coś powiedział??

Pogladali oba na siebie — Majster osłupiały z podziwienia, Rupert z ironicznym uśmiechem, który twarz jego, tak obrzydliwą uczynił, że kto inny, mniej do niej przywykły jak Bartłomiej, byłby uciekł za kraj świata, ale Majster wspomniał że Rupert napomknął cóś o złocie.

— Hm! rzekł, juściżby to dobrze było zarobić tak wiele złota — ale?

—, Ha, ha, ha! piszczącym głosem odezwał się Rupert, poduiósł się z krzesła i stając podparłszy się w boki na przeciw Bartłomieja — Cóż to czy w twojej głowie, ten rodzaj majsterstwa zmieścić się nie może?

— Hę? co? zapytał Bartłomiej nierozumiejąc poczwary — czy chcesz żebym oszalał, albo żebym był szalony, czyli, żebym odszedł od zmysłów?

— No, Bartłomieju, jesteś przecie Alchemik, zawołał trochę niecierpliwie Rupert, wytrzeszczywszy

na niego oczy jak dwie grobowe pochodnie i zbliżając się z rozdartą gębą, z wyciągnionemi rękoma, jakby go chciał udusić, upiec przy ogniu swego spójrzenia i połknąć całego — jesteś alchemik — a alchemik jakich mało, równasz się z Panem Bobolą, tym jezuickim szachrajem, który królewskie złoto, przetapia w kufry Lojolistów. Pan Wolski nawet radzi się ciebie niekiedy, idąc na experymenta do Króla Jego Mości — ty więc uczony ośle, (tu P. Bartłomiej splunął niby obrażony, ale że do złota mowa się ściągała więc

milczał), no czyż nie wierzysz żeby człowiek mógł przerobić człowieka, kiedy go..... Hę??

— Hę?? zająkając się odpowiedział z małym nawiasowym uśmiechem Bartłomiej, oczekujący ciągle, aby się rozmowa ku pieniądzom nachyliła — ku pieniądzom, które kochał jak samego siebie.

— Jak widzę, rzekł podskakując prawie, mały ognisty Rupert, toś ty albo głupi jak sak, albo mię chcesz do tego przyprowadzić, że się zaklnę na twój bót dziurawy, iż tu noga moja niepostanie — i złota ci niedam.

— No! ale ja słucham, odparł żywo, urażony Bartłomiej kładnąc rękę na piersiach na znak lekkiej urazy, ja słucham, ja rozumiem, przerobię ci co chcesz — nawet ciebie samego, tylko powiedź, gdzie to złoto, o którym była wzmianka.

— O! powoli! rzekł Rupert, musisz wprzódy odbyć próbę, musisz zaprzysiądz milczenie, musisz się wyrzec swojej duszy, musisz — o! to jeszcze wiele rzeczy brakuje, do tego — dziś pójdziem odbyć pierwszą próbkę.

— Hę?? odpowiedział Majster—

jam gotów — ależ do djabła słychać już śpiewanie nocnych stróżów — już północ blisko.

— No to i cóż? zapytał Rupert— to właśnie sam czas nadchodzi.

II.

— Cyt! cyt!

— Powoli.

— No chodźże.

— Kiedy ciemno jak w lochu.

— I do sto tysięcy.

— A! do milion kaduków!

— No leżże gapiu? wołał nareście Rupert, sprowadzając Majstra ze wschodów — leź — i to mówiąc wziął go za połę, pociągnął, i skacząc jak bocian cieńkiemi nóżkami,

wlókł Bartłomieja, którego brzuch i tusza, tak prędko iść niedozwalały i który przeto wrzeszczał jak szalony.

— A! milczże pieszczochu! krzyczał znowu Rupert, bo przysięgam że ci gębę zamaluję do sądnego dnia. Majster Bartłomiej, zląkł się, bo był tchórz wielki, i wlókł się podskakując i wołając tylko z cicha niekiedy — och! ach! aj! oj! — lub pomrukując pod nosem.

Po wielkich korowodach zeszli nareście ze schodów, i pokazali się na ulicy. Księżyc świecił jasno, noc była widna, Rupert spójrzał po

niebie i rzekł po cichu do Majstra— Noc bezecna, do naszej roboty — a Majster tymczasem tchórzliwie spoglądał po oknach i w jednym ujrzał siedzącą swoją synowicę. Siedziała ona zadumana, sparta na ręku, i wpatrywała się w księżyc, który jej białą suknię i bielszą jeszcze twarz i anielskie rysy oświecał, połykała wieczorne tchnienie wiatru, rozwiewające jej czarne włosy i lekko kołyszące jej szaty.

— Idź spać Hersylijo! zawołał Majster — już nie pora po niebie gawronić — spać, spać — połóż się na

mojém łóżku — pilnuj, żeby nas nie okradli, zamknij dom na rygle i niepuszczaj nikogo, choćby się Bóg wie jak dobijał.

— Dobrze, dobrze, stryju, ja zamknę, ale dzisiejszej nocy oka zmrużyć się niegodzi, dziś porównanie jesienne dnia z nocą. To noc cudna dla astrologów i kochanków. Dziś w pogodnych gwiazdkach czytać będę, przyszły los mój i mego kochanka. Dobranoc, stryju, dobranoc, idź już, idź. Już cię ten mały Rupert ciągnie dawno za rękaw, dobranoc — niepuszczę nikogo.

— Niepuszczaj! niepuszczaj! wołał oddalając się coraz Majster Bartłomiej, choćby i Tobiasz nawet stukał się do bramy.

— Oho! odezwał się głos z okna — a mała poczwarka pociągnęła silniej Bartłomieja, a Bartłomiej jak szatan poleciał, bo dla złota, gotów był karku nadkręcić. Szli jeszcze ulicą — wszędzie było cicho: księżyc świecił, wszystko spało, tylko w winiarniach odzywały się szumne wykrzykniki podochoconych i migały jarzęce światła. Szli dalej kierując się ku przedmieściu. Już mijali klasztor je-

zuicki Stej Barbary, a Bartłomiej wzdychał poglądając na mury bogatego, oblanego złotem zakonu, kiedy na zakręcie spotkali jakąś dziwotworną figurę, o mur opartą.

Był to męszczyzna chudy i cienki, trzymający pod pachą pudełko. Księżyc oświecił jego rysy — był on w okularach, nos miał długi, wystający, jasno-granatowy, oczy ogromne jak talary, czarne i ogniste; ale ze wszystkiego najdziwniejsza była chudość. Był to szkielet żyjący, kości wyglądały mu z pod

skóry, która wisiała na nim, jak worek na kołku.

Ta figura zbliżyła się do Ruperta, a Bartłomiej odskoczył od niej parę kroków, żegnając się skrycie i przyciskając się do towarzysza.

— Alež się na ciebie wyczekałem! krzyknął dzwięczącym głosem Suchy — a zimno mi dolegało, bo to noc jesienna, a rosa chłodna do stu djabłów.

— O! zawołał Rupert, czego się tak ciśniesz do mnie Bartłomieju i machasz rękoma?

— Opędzam komary — zamru-

czał pod nosem Majster — spoglądając z podełba na Suchego.

— Przecieżeście przyszli! — zawołał Suchy — Ależ to gruba kłoda toczy się za tobą Rupercie — Pośpieszajmy!

Bartłomiej drżał jak listek i trzymał się towarzysza, jak pijany płotu, gdyby nie nadzieja pieniędzy, uciekłby już dawno.

— Ależ noc szkaradna! rzekł Suchy wpatrując się w pogodne, gwiazdami zasiane niebo.

— Prawda! niegodziwa! dodał Rupert.

Tak pomrukiwając niekiedy szli przez miasto, a im ciemniejszemi cisnęli się zaułkami, tym dalej w pięty kryła się dusza Pana Majstra. Szli dalej, wyszli za miasto, na przedmieście, stanęli w końcu na polu. Było blisko północy, wiatr dął jak z kowalskiego miecha, chmury wlokły się już powoli jedna za drugą na niebie i księżyc kaprysić zaczynał, to świecił, to gasnął, to, w jedną, to w drugą stronę wyglądał z zachmury. Trzej nasi podróżni doszli nareście do rozstajnej drogi — Księżyc błyskał jeszcze niekiedy — Bartło-

miej był blady jak chusta. Nadedrogą stał krzyż pochylony, stary, który skrzypiał za każdym powiewem wiatru, jak na torturach — czyste było pole w około. Jedna droga, którą przyszli, prowadziła do miasta, druga na lewo do cmentarza, o kilkadziesiąt tylko kroków oddalonego, trzecia do lasu, czwarta na prawo do pustego na wzgórku kościołka. Na cmętarzu kołysała się drzemiąca jodła, podnosząc gałęzie nad mogiłami, jakby ich bronić chciała; w kościołku świszczał wiatr, przez

drzwi i otwarte okna, lasek szumiał z daleka, jakby się gniewał na chmury, że mu księżyc zaćmiły — chmury naciągały na niebo coraz bardziej, a gdy Suchy popatrzył na nie razy parę, zupełnie się zrobiło ciemno. Rupert od zimna, chłapał jak pies zębami, a Suchy rozwinął swoją paczkę, wyjął kawał kredy, sznurek, flaszkę, cyrkiel i książkę. Wszyscy milczeli — Suchy stanął koło krzyża, Rupert za nim, Bartłomiej także — Mała poczwarka wzięła od Suchego książkę obróciła się ku zachodowi i zaczęła cóś mruczeć — Wiatr

dął coraz mocniej, aż Bartłomiej dwóma rękoma trzymać musiał czapkę na uszach, żeby jej nie zerwał. Suchy tymczasem uwiązał kredę do sznurka i zakreślił duży cyrkuł koło krzyża, całą tę przestrzeń zajętą obwodem koła, pokropił potém wodą z flaszki, stuknął nareście krzesiwem o kamień i rospalił wiązkę suchego drzewa, która tam jakby na umyślnie leżała, i buchnęła zaraz sinim płomieniem, a dym gęsty, poleciał kłębami w górę, potém się rozciągnął po nad głowami siedzących i poszedł z wiatrem dalej.

Suchy siadł natychmiast i wziął od Ruperta książkę. Rupert oparł się o krzyż z drugiej strony, Bartłomiej z trzeciej dzwoniąc zębami. Przy blasku palącej się wiązki Majster spójrzał na Suchego i zadrżał, na Ruperta, i oczy zamknął — spójrzał w około i westchnął, bo było ciemno, choć oczy wykól, i pomyślał, że go tu pewniuteńko śmierć czeka.

Z tych marzeń o własną skórę, obudziły go, disharmonijne głosy jego towarzyszów, nieco podobne do miauczenia przerazliwego kotów

w Marcu; beczące jakiś himn Chaldejski. Choć Bartłomiej był Alchemik, i umiał Chaldejski, Syryjski, Koptycki, Arabski i Hebrajski języki, ale z tej pieśni niektóre tylko słowa mógł zrozumieć, a te słowa pomnażały jeszcze strach jego, bo co syllaba to inny djabeł figurował w tej pieśni! Majster tulił się do Ruperta i do krzyża, nastawił uszy— pieśń tylko rozlegała się po okolicy, na cmentarzu szemrała jodła, wiatr świszczał w kościołku — a ciemno było jak w kominie!!

Pieśń ucichła nagle, inny głos

dał się słyszeć — Suchy zaczął dzwonić w mały dzwonek srebrny, który wyjął z pudełka, a za każdém uderzeniem wołał swoim przenikliwym głosem: *Gimmel! Gimmel! Tob Gimmel!* Po siedmiokrotném dzwonieniu szelest dał się słyszeć i ogień błysnął przed samém kołem. Bartłomiej zamknął oczy ze strachu, a pot lał się z niego, jak sok z podciętej na wiosnę brzozy. Postać, która się ukazała za kołem była cała ognista — krótko mówiąc był to ów Pan Gimmel wołany. Dzwonek i głosy ustały, a przybylec nowy za-

czął skakać w około niecierpliwie i ze złością. Postać jego była całkowicie podobna, do Hebrajskiej litery, G, miał głowę naprzód wystawioną, ogromną, tułub straszliwie i dziwotwornie długi, a gdzie u ludzi są kolana, u niego dopiéro zaczynały się nogi, krótkie i koszlawe.

— No czegożeście mnie wołali?? zapytał djabeł.

— Mamy pewną robotę — odezwał się Suchy bardzo ozięble i z krwią zimną — trzeba nam twojej pomocy.

— No cóż tam? zapytał ciągle

skacząc w około ognisty przybysz — a Bartłomiej ledwie dyszał.

— Trzeba nam twojej pomocy — mamy robotę, której ty jesteś przewodnikiem i zawiadowcą.

— Czy tylko ta bagatel? rzekł djabeł rozgniewany, to na cóżeście mnie wołali — Tfu! wyprowadziliście mnie o dwieście mil drogi, dla takiego błazeństwa.

— I jest tu przytém jeden nowiciusz, który ci oddaje swoją duszę.

— Aha! aha! krzyknął ze śmiechem przeraźliwej radości djabeł — to dobrze, bravo! — i skakał jak sza-

lony— dajcież mi go tu — tu! a Bartłomiej mało ze strachu Bogu ducha nie oddał; chciał się przysiądź bliżej Ruperta, padł na wznak, pośliznął się, i jedna noga wyszła za koło. Jak błyskawica szybki djabeł chwycił go za nogę — ale przytomność umysłu zbawiła Majstra — szarpnął nogą, a djabłu został się tylko w ręku bót dziurawy!!!

— Masz szczęście, zawołał Rupert do niego, Pan Gimmel jużby cię ztąd daleko wyprawił, gdyby nie twoje szerokie bóty, jużbyś nie

żył. Trzymaj się środka koła, bo my tu tylko pewni!

— Przysięgajże stary gapiu! wrzasnął djabeł, a Suchy wziął książkę i czytał przysięgę, którą za nim w języku Chaldejskim powtarzał Majster drżącym głosem. Jak tylko skończył, djabeł zniknął i wiatr tylko za nim poleciał jak szalony, i dotąd niewiadomo czy go dogonił.

— No! wracajmy zawołał Majster.

— Hola bracie! odparł Suchy, nie spiesz się tak do swoich szkatułek— jeszcze tuśmy nieskończyli — mu-

sim gotować miksturę dla naszego pacienta. To mówiąc przystawił kociołek i wiatr zerwał się szalony. O mało krzyż się nie zwalił, deszcz lunął jak z wiadra, ale w kole deszczu nie było, chociaż lał strumieniami o trzy kroki; piorun bił po piorunie — Błyskało, całe piekło się zburzyło — a Bartłomiej mało nie omdlewał ze strachu.

III.

Już była druga z północy— Bartłomiej wracał do domu i leciał po ulicach sam jeden jak odurzony, aż nareście stanął przed bramą.

— Puk, puk, zastukał do drzwi — cicho jak w grobie — puk, puk, znowu powoli, żeby sąsiedzi nie usłyszeli — nie ma nic. Krew P. Bartłomieja zawrzała odrobinę, znowu puk, puk; ani słychu o otwieraniu bramy. Zaczyna więc mocniej, nie

już palcem, ale pięścią — i to nie pomaga — raz, drugi, trzeci — na-próżno. Niecierpliwość rośnie, a wstyd obudzić sąsiadów, choć rosa ranna dojmuje djabelnie — Zdecydował się nareście P. Majster — wali we drzwi pięściami co sił staje, czasami nogami sobie dopomaga; zmęczył się jak koń młyński, spotniał, pieni się, zły, szturmuje — a nikt nie otwiera.

Raz już szturm zacząwszy, trzeba go kończyć przededniem, żeby wschodzące słońce, pode drzwiami domu własnego go nie zastało, żeby

całe sąsiedztwo nie gadało, że Majster Bartłomiej nie nocuje w domu i wraca nad rankiem — Stuk! hałas! sąsiedzi pobudzili się, wyglądają oknami poziewając, a Bartłomiej i rękami i nogami szturmuje co sił staje — coraz niecierpliwiej, bije, stuka i wrzeszczy — „Otwórzcie! hej! otwierajcie! no! otwórzcie! no! odemknijcie! hej! odmykajcie!"

— Hej! sąsiedzie! odezwał się głos chropawy kaszlem przerywany z jednego okna — porzuć to — bardzo proszę. Brzydkie życie prowadzisz, nocami włóczysz się

po mieście, i sam nie spiąc, nam jeszcze spoczynek przerywasz.

— Patrzcie tego osła! odezwał się cieniuchny głos z drugiego okna, całą noc nie spałem, ledwie com się zdrzemnęła nad rankiem, aż tu ten grubijanin znowu mi spać nie daje — O! przeklęty bałdyga!

— Pa-pa-nie — są-sie-sie-dzie-dzie, trzęsącym, zająkliwym ale tubalnym głosem wołał ktoś trzeci — niech cię wszys - cy - cy dia - diabli wezmą, z twoi-im-im stuka-ka-niem-em, Ci-ci-cho b-bałwa-a-nie!

A Bartłomiej jak bił tak bił.

—A kto tam? odezwał się nareście głos z okien domu P. Bartłomieja.

— To ja — odpowiedział szybko Bartłomiej.

— Któż? ozwał się głos znowu.

— Ja — Majster Bartłomiej — Pan tego domu — ośla głowo — i basta — czyli basta i głowa ośla — bę? czy mnie nie poznajesz po głosie.

— Oczewiste kłamstwo — rzekł znowu głos z okna, Majster Bartłomiej już dawno przyszedł do domu, i smaczno zasypia.

— Ach! łotry otwierajcie, bo wam jutro łby potłukę.

— To oszust — odezwano się znowu, chce się wkraść do domu, żeby co ukraść, ale mnie nie oszukasz — muszę dobrze domu pilnować, i niepuszczę, chociażbyś o mur bił głową — a jeśli sobie pójść nie zechcesz, zawołamy pachołków, żeby cię do sądów Ławeckich odprowadzili.

— O przeklęta nocy! krzyczał Majster osłupiały ze złości, pieniąc się prawie — przeklęta, stokroć przeklęta nocy!! — i stał niewiedząc co robić pod drzwiami, a okno zamknęło się, sąsiedzi poszli spać — Majster został się sam jeden na ulicy,

siadł, na ławie, wzdychał, płakał i usnął ze znużenia.

Nad samym rankiem, obudził się Majster ze snu, i obejrzał się po sobie i koło siebie. Mnóstwo ludu gromadziło się w około, patrząc z podziwieniem na niego: na jednej nodze nie miał bóta, suknie jego były czarne jak węgiel, galony u kapoty pordzawiały, włosy nieco miał osmalone, a suknią prócz tego podartą.

— Hej! ozwał się ktoś z tłumu— Majster gdzieś był na piwku.

— O! odpowiedział drugi, musiał się wczora zalać porządnie.

— Patrzajcie, zawołał trzeci — powraca pewno z bankietu, obejrzyjcie no mu uszy, czy ma całe.

Tak krzyczano, a Majster Bartłomiej, był pośmiewiskiem pospólstwa, wstał nareście z ławki, i wszedł do domu.

Sciemniało się już tegoż samego dnia, kiedy synowica Bartłomieja Hersylia, siedziała w swojej komnacie. Była to izba niewielka, z dwóma kraciastemi oknami. Dwa stoły marmurowe i trzy stołki wyplatane

trzciną, zdobiły ją. Na szybach okien pomalowane były znaki Zodyaku: sufit wyobrażał systema Tychona, na stole widać było kule, globy, leżały cerkle i ksiąg kilka, przy ścianie stał szpinet, lira i arfa. Hersylia siedziała sama jedna zadumana, przed rozwartém oknem i wzdychała — śliczny był wieczor — Hersylia nadstawia ucho, ktoś idzie po schodach — serce uderzyło mocniej — to on! — Oboje spotkali się na środku pokoju, oboje mieli wzrok czuły, obłąkany. Tobiasz był wysoki, piersisty ale blady — oczy miał żywe i

czarne. Hersylia była brunetka, średniego wzrostu, miała oczy wymówne, jak najczulszej Włoszki, kibić Atalanty. Podała rękę kochankowi, on ją pocałował i rzucając na ziemię kapelusz, zawołał.

— O moja luba! nieuwierzysz jaki mię ogień pali, pragnę, palę się cały — dwa dni niesłyszałem muzyki! zagraj proszę cię cokolwiek.

— Dobrze moje serce! rzekła wzdychając i biorąc arfę powoli. Chciała grać i ręka jéj zastanowiła się nad strunami, sparła głowę i zadumała się posępnie.

— Tobiasz otworzył szpinet i zaczął grać sławnego Clabonicgo melodiją wrzącą, czucia pełną. Arfa milczała jeszcze, ale kiedy Tobiasz (*), zniżył głos, kiedy cichemi tony odezwał się z melancholijną Canzoną — arfa ożyła, i tak rosła w silnych odgłosach że szpinet z prymu, na wtór zeskoczył. Muzyk pałał cały, jego dusza zdawała się czuć i połykać tony, nim je usłyszał. Oczy iskrzyły

---

(*) Ten Tobijasz z Sondomierza, był śpiewak i muzyk nadworny Zygmunta III. Patrz Siarczyński, Bentkowski, Niemcewicz.

się, wytężały się wszystkie żyły; nic nie czuł, nic nie widział, nic nie słyszał, tylko harmonią, której wyobraźnia dodawała wdzięku.

Lecz nagle, arfa ustała, a Tobiasz zleciał z nieba na ziemię, opuścił ręce i oglądał się w około z podziwieniem.

— Czy już dosyć — moje serce? zapytała Hersylia.

— Dosyć! rzekł z cicha wzdychając Tobiasz — dziś ja grać będę jeszcze u Kazanowskich wieczorem.

— Więc się dziś wcześnie rozłączym! rzekła smutno Hersylia.

— Jakto, rozłączym? zawołał powstając z zapałem Tobiasz, alboż dusze nasze nie są zawsze razem?

— Hersylia westchnęła tylko. Tobiasz chodził szybko po pokoju, rzucał ogniste spójrzenia i usiadł nareście, Hersylia zbliżyła się ku niemu, wzięła go za rękę i milczeli!

Drzwi się otworzyły, wszedł Rupert. Musicie pamiętać jego garb, ogromną głowę, ręce cienkie i długie, i nożki jak badyle. Otoż Rupert uśmiechnął się wchodząc i usiłując przybrać powabną minę, aby się przypodobał — skłonił się i przy-

stąpił bliżej — Oczy Tobiasza zapłonęły gniewem, ale przybyły nieuważał na to i zaczął być natrętniejszym, siadał, wstawał, chodził, nucił, przypatrywał się, uśmiechając Pannie Hersylii.

Tobiasz się niecierpliwił, bo Rupert przerwał mu słodką chwilkę, patrzył nań ostro i oka z niego na chwilę nie spuścił. Hersylia tym czasem nie zważając nań bynajmniej, sparła się na ramieniu kochanka i nie patrzyła nawet na przybylca. Czoło małej poczwarki chmurzyło się widocznie, tupnęła nogą, żeby prze-

cie choć jedno pozyskać spójrzenie, i odezwała się po chwili.

— Panna Hersylia powinna być grzeczniejsza; bo ją przed stryjem oskarżę.

— Milczeć!.... rzekł poważnie i zimno Tobiasz.

— Panna Hersylia mnie nie słyszy — odezwał się znowu uparty.

— Milczeć! powtórzył Tobiasz groźniej, ale z równą powagą, nakazującym tonem.

— Ty sam milcz śmiałku—wrzasnął przeraźliwie Rupert łupiąc o-

czyma i wyciągając ręce — milcz bo cię zgniotę, i oknem wyrzucę.

Tobiasz zamilkł, powstał powolnie z krzesła i zbliżył się do małego garbatego, który nie wiedząc jeszcze co z tego będzie, cofnął dla wszystkiego parę kroków. Młody muzyk tym czasem chwycił go silnie za kołnierz i milcząc ciągle, bez najmniejszej oznaki gniewu, prowadził go, a raczej wlókł do szafy.

Rupert szamotał się jak mysz w połapce, ale silna ręka go trzymała, musiał się poddać.

— Puść! puść mię, moje serce

na miłość Boga, zawołał przerażony, puść mię moje serce, bo ci kości pogruchoczę. Tobiasz milczał, otworzył szafę, wepchnął do niej Ruperta, zamknął na zamek i wrócił powolnie do kochanki. Przez cały czas, któren trwała utarczka, Hersylia nie patrzyła nawet na nich, a kiedy Tobiasz się zbliżył, wzięła go za rękę i znowu usiedli w milczeniu, patrząc tylko niekiedy na siebie.

— Uf! uf! aj! oj! odezwał się głos z szafy — nu! aj! puść mnie, przysięgam ci na wszystko, że tu

więcej noga moja nie postanie — nie mam czasu — to złe żarty panie Sandomierczyku!

— Milczeć — odezwał się znowu Tobiasz bardzo gwałtownie, milczeć, bo ci łeb roskwaszę!

— No! aj! mój najmilszy, mój dobrodzieju! puść mię — dam ci co chcesz, dam ci pieniędzy.

Tobiasz ruszył ramionami z politowaniem, a Rupert dusił się, krztusił, łajał, rzucał się, bił w szafę, ale nikt na to nieuważał.

— Zlituj się, jeśliś poczciwy czło-

wiek — rzekł płacząc prawie, raz jeszcze Rupert — mam pilny interes.

— No! słuchaj! zawołał grzmiącym głosem Tobiasz, jeżeli twoja noga postanie jeszcze kiedykolwiek w tej komnacie, jeżeli się odważysz być natrętnym Pannie Hersylii — pamiętaj, że cię tak uczęstuję, że Ruski miesiąc popamiętasz.

Czy słyszysz?

— Słyszę — słyszę, tylko puszczaj — wołał Rupert, bo się uduszę, niech mię nadal Pan Bóg uchowa od tego domu i od was wszystkich.

Tobiasz otworzył szafę powoli

i patrzał na wyskakującego z niej Ruperta, który jak opętany poleciał do drzwi, wybiegł i zatrzasnął je za sobą.

Muzyk zwrócił się raz jeszcze ku Hersylii, wziął jej rękę, położył na sercu — westchnął i wyszedł.

IV.

Wyleciał więc Rupert pełen złości z komnaty, i zbiegł na dół gdzie go Majster z Suchym oczekiwał. Po minie Ruperta poznali od razu że mu się cóś złego przytrafić musiało, ale Rupert wstydził się wyznać i chodził tylko włożywszy ręce w kieszenie, zgrzytając zębami i układając plany zemsty.

Po chwili, Suchy przerwał milczenie.

— Kolego! o czém znowu myślisz? czas do roboty — czy cię co opętało?

Mała poczwarka usiłowała przybrać minę pogodną.

— Więc idziem, rzekł, niech Majster niezapomni wziąć z sobą narzędzi.

— Idziemy.

— Idziemy.

— Idziemy.

To mówiąc zeszli; kręcili się róznemi ulicami tam i ówdzie, aż nareście stanęli u drzwi pałacu, położonego na ulicy Biskupiej. Rupert

zapukał — otworzono bramę i trzej majstrowie weszli. Służący młody i przystojny poprowadził ich po wschodach do małej sali — od której drzwi im otworzył.

Była ona wykładana białym marmurem — ogromny stół, stał na środku, na nim paliło się kilkanaście świec jarzęcych — okna zapuszczone były czarnemi zasłonkami — żywej duszy nie było widać.

W kącie na wielkim kominie, palił się ogień, a w kotle ogromnym wrzała woda. Zegar, i kilkanaście wąsatych, jaskrawych portretów,

zdobiło to mieszkanie po którém niedowierzając oglądał się nieufnie P. Majster. Suchy i Rupert szepcząc cóś pomiędzy sobą, złożyli na stole paczki przyniesione z sobą — spójrzeli na zegar, zawołali sługi — powiedzieli mu że już czas — i sługa zniknął w momencie.

W sali parno było jak w łaźni, a cicho jak na cmętarzu, tylko zegar w takt maszerował, i ogień trzaskał pod kotłem i woda wrzała posępnym szmerem.

Wszyscy trzej dumali głęboko, kiedy otwierające się nareście drzwi,

zwróciły ich uwagę. Suchy i Rupert przybrali miny poważne, Bartłomiej stanął z tyłu za niemi i spoglądał im przez ramiona.

Zgrzybiały starzec wszedł o kiju do sali, kaszląc i drżąc cały jak galareta, ubrany był w ciepłą suknią adamaszkową, bardzo starego kroju i czapkę futrzaną, na twarzy krzyżowało się tyle marszczek, ile kropel w morzu, oczy wyglądały z głowy, jak iskry z popiołu, a tak był łysy że mu ani pół włosa nie pozostało. Prowadziło tego starca trzech hajduków młodych i posadzili go

na krześle a sami odeszli. Zaledwie znikli, starzec odezwał się do Suchego.

— No — a maszże trzeciego do roboty?

— Jest Panie — odpowiedział ów i wskazał Bartłomieja, który skłonił się tak nisko, jak tylko brzuch mu dozwalał.

— Pamiętaszże na przepisy?

— Pamiętam Panie!

— Widziałeś się z Gimmelem?

— Tak jest — Panie.

— I cóż mówił?

— Nic — Panie.

— Ale przecie?

— On się nie sprzeciwia.

— A warunki?

— Wiadome — Panie, jak zawsze, jak zawsze — trzeba mu zapłacić duszą.

— Duszą! no! no! zaczynajciesz robotę.

Gdy to mówił trzej majstrowie zbliżyli się do niego, porwali go i wrzucili w kocioł z wodą wrzącą, aż para buchnęła. Suchy pilnował ognia, Rupert patrzał na zegar, Bartłomiej był gotów nazad go z tej łaźni wydobyć. Gdy już trzej ro-

botnicy miarkować zaczęli, że starzec należycie się przysmażył, wyjęli go ostróżnie, położyli na stole, przykryli prześcieradłami i zaczęli chodząc w około śpiewać i kadzić różném zielem, bursztynem, ambrą i aloesem.*Bartłomiejowi zaś kazano za każdą strofą ciąć siekierą kłodę, leżącą na ziemi. Ten obrzęd trwał z półtory godziny. Suchy przystąpił wreście do stołu polał jakimś płynem leżące na nim ciało, odkrył prześcieradło i podał rękę do wstania.....

Majster Bartłomiej mało nie om-

dlał z podziwienia widząc wyskakującego ze stołu, ledwie dwudziestoletniego młodzieńca na miejscu starca, który natychmiast pobiegł do wielkiego Weneckiego źwierciadła wiszącego na ścienie, uśmiechnął się do siebie, skłonił się trzem majstrom i zawołał na sługę.

Sługa szukał pana oczyma, i dziwował się że go nie było.

— Kto mię wołał? zapytał hajduk — zdawało mi się żem słyszał głos pański.

— Ja, wołałem odpowiedział stary młodzieniec — ja twój pan.

— Jegomość? a cóż pan potrzebuje?

— Przynieś tu wina.

— To dobrze, ale gdzież mój pan?

— Toż ja nim jestem przecie.

— W Imie Oyca i Syna! czysto zwarjował — czyż to ja już nie znam swego pana — patrzajcie no go?

— No! słuchaj hultaju! powtórzył młodzieniec marszcząc czoło, ja jestem twój pan, chociaż z pomocą tych panów młodziej teraz wyglądam.

— Pleciesz Waszmość, z pozwoleniem — jakbym to ja był z rozu-

mu obrany, żeby temu wierzyć! odparł obrażony sługa — czyż ja oczu nie mam! ot to!

— No! patrzajże na mnie— krzyknął przeraźliwie młodzienicc; i kiedy sługa spójrzał na niego, on przybrał postać dawną zgrzybiałą i w mgnieniu oka odmłodniał znowu.

—Wszelki duch Pana Boga chwali! wrzasnął zakrywając oczy rękoma przelękniony hajduk — To czary! w Imie Ojca i Syna! tfu! zgiń maro! przepadnij tfu! tfu! To mówiąc zaczął pluć na wszystkie strony i uciekać co siły.

Tym czasem już było po północy — pozabierano flaszki i przyniesione narzędzia i zabierano się wychodzić, kiedy Bartłomiej szepnął Rupertowi na ucho.

— A gdzież moje pieniądze?

— Poźniej — poźniej się znajdą, odpowiedział Rupert.

— Oho! nieoszukasz mię paniczu! zawołał śmielej Bartłomiej, głos podnosząc, nie ruszę ztąd krokiem bez pieniędzy.

— Panie przerobiony! rzekł obracając się do młodego, gdzież obiecana zapłata?

— Już jest u ciebie w domu — odpowiedział zagadniony, znajdziesz tam kufer pod łóżkiem, który kazałem zanieść do ciebie — o tajemnicę, prosić cię nawet niepotrzeba, bo nierostropne słowo, głową przypłacisz.

Bartłomiej niedowierzający z natury, trochę jeszcze skrobał się w głowę, ale go prawie gwałtem wyciągnięto ztamtąd, a Rupert prosił towarzyszów z sobą, na wino.

Po hałasie i wesołych śpiewach poznali o kilka kroków winiarnię na Sto Jańskiej ulicy i weszli. Oszczę-

dny Bartłomiej, który nigdy w takich miejscach nie bywał, chyba go kto prosił z sobą, usiadł bardzo skromnie.

Suchy i Rupert kazali dać trzy dzbany wina węgierskiego i zobowiązawszy się każdy wypić po dzbanie; ostatni przysunęli Bartłomiejowi. Trunek rozjaśnił czoło Majstra, a dotąd milczący, zaczął okazywać chętkę do rozmowy; wypiwszy trzecią część dzbana — już gawędził, około połowy, śpiewać zaczął, a kiedy na dnie niewiele już pozostało, podniósł się z ławki i chciał przejść

się po izbie. Nieszczęściem stary węgrzyn szedł mu w głowę, nogi pochylały się jak trzcina wiatrem kołysana — chodził z kąta w kąt, zataczał się. Suchy i Rupert patrzali nań złośliwie, gdyż po wypróżnieniu swoich dzbanów, oba byli trzeźwi, jak wprzódy — reszta zgromadzonych osób niezważała na niego. Tymczasem Majster używał przechadzki po izbie — idzie — idzie — osmala czuprynę koło świecy — to bagatel! Trącił jakiegoś Woźnego — powadzili się — pęc, pęc — i znowu spokojnie — chodzi jeszcze, ale już

mruczy, wyrabia rozmaite gesta rękoma— wywrócił stolik, świeca spadła mu na żupan, dzbanek pod nogi, Majster zachwiał się i sam padł także z ciężkiém westchnieniem. Pośpieszono na pomoc — Majster omdlał, nalano mu pół garnca wody za kołnierz, otrzeźwił się, westchnął znowu, pociągnął Ruperta za rękaw i mruknął niewyraźnie.

— Chodźmy.

— A — chodźmy, odpowiedzieli towarzysze i szepcząc pomiędzy sobą, wzięli go pod ręce i prowadzą. Noc była ciemna, niebo po-

wlekło się czarnym futerałem, a na ziemi wiatry biegały.

— Zupełnie się spiłem — rzekł Bartłomiej.

— Lepiej spać będziesz — odpowiedział Suchy.

— Hm? zapytał Majster.

— Hm? odparł przedrzeźniając Rupert.

— No! gdzież idziem? odezwał się znowu.

— Prowadzim cię do domu.

— A cóż u djabła tak dalekó — a domu nie widać.

— Już blisko.

Szli — szli — prawdziwie nawet nie wiem którędy i dokąd, dość, że wedle opowiadania Bartłomieja, szli przez miasto, bo ile razy P. Majster oczy otworzył, widział, albo raczej zdawało mu się, że widział— domy. Nakoniec, sprzykrzyło się im P. Bartłomieja prowadzić i Rupert się odezwał.

— Twój dom, ztąd o trzy kroki— bądź zdrów.

— Umhu! mruknął Majster i usiłował iść prosto przed siebie, walcząc ze swemi nogami, jak człowiek który chce przejść bystry strumyk—

uszedłszy trzy kroki, znalazł bramę, a że—po nocy wszystkie krowy czarne — nuż bić w tę bramę — stukał, stukał — otwierają.

— A kto tam? pyta głos ze środka.

— Ja — odpowiedział pijany pukając się gwałtem do bramy — ja ma-Majster B-bar — reszta skonała na wargach.

— Chodźże tu, Waść, chodź! odezwał się głos — i Majster wszedł, wzięli go pod boki — poprowadzili, położyli, a Majster chrapnął, jakby od lat czterech oka nie zmrużył.

Około południa budzi się — ogląda — przeciera oczy.

— Coż u licha—Hę? Szymon! Szymon! hę! — hę! Szymon, hı!— cicho, nikt nieodpowiada, zaczyna wstawać — ogląda się.

— Cóż to? cmętarz nad rozstajną drogą! i ja spałem na grobie przy dwóch trupich głowach! W Imie Oyca i Syna! To mówiąc, porywa z pod sukni konwulsyjnie różaniec, żegna się, leci, co siły z tarczą — mija bramę, nie śmiejąc patrzyć za siebie — trzepie pacierze i spocony, zmęczony, zlękniony, w pół żywy, przybywa nareście do domu.

V.

Przed samémi drzwiami domu P. Bartłomieja, spotkali się tegoż ranku Suchy z Tobiaszem, obydwa wchodzić chcieli i zdziwili się, że dążą ku jednemu miejscu.

— Cóż to, wujaszku! odezwał się Tobiasz — do kogoż masz interes w tym domu?

— Cóż to, siostrzeńcze? co cię tu prowadzi, zapytał prawie jednocześnie Suchy.

— Ja idę do Majstra Bartłomieja.

— A ja do jego synowicy.

— Cha! cha! odezwał się Suchy śmiechem więcej do kaszlu, jak do śmiechu podobnym — podobno ładna dziewczyna — a zapewne zdaje się powolną i łagodną jak baranek, kiedy ludzie na nią patrzą? cha! cha!

— Śliczna! boska! cudowna! wujaszku! odpowiedział żywo Tobiasz, nim jeszcze Suchy skończył pytanie.

— I zapewne ciebie kocha! któżby zaś ciebie nie kochał! ciebie poczciwcze, w którego oczach każdy człowiek jest dobrym, bo ty sam do-

bry jesteś — bo ty...... no! więc ciebie kocha?

— To nadto delikatne pytanie wujaszku! ja nie mogę, niepowinienem odpowiedzieć na nie!

— Już nie potrzebuję twojej odpowiedzi — rzekł zimno Suchy — aż nadto jej się domyślam — pewno chcesz się żenić? — i to mówiąc Suchy tak bystro, tak przenikliwie, tak nagle spójrzał w oczy Tobiaszowi, jakby wzrokiem chciał mu niepoczęte jeszcze w duszy jego myśli wyrwać, Tobiasz zmieszał się i spuścił głowę.

— No? jakże? zapytał znowu.

— Jeśli się na to zgodzi ona — i Majster.....

— Spuść się na mnie, moje dziecię — ja swatem będę.

Tobiasz rzucił się na szyję Suchego i tak silnie, tak serdecznie go ściskał, jakby mu chciał kości pogruchotać.

Suchy na te oznaki przywiązania, westchnął tylko i kilka łez ognistych, spłynęło marszczkami jego twarzy.

— Ty jeden Tobiaszu, rzekł po chwili, kochasz mię, a cały świat

mnie opuścił. I ja niegdyś miałem kochankę i żonę! i moje serce znalazło sobie swoją parę — ale Tobiaszu, pamiętaj na to — że kobieta jest jak woda, póty twój obraz jej serce odbija, póki ty przy niej!!! — Dziś! o jak okropny los człowieka, który sobie sam wszystkiém być musi! Szukałem ludzi — lecz jakich ludzi? którzy mię nie pojmowali — nie znali, nie umieli ocenić, uczuć nie pojęli — obcowałem z niemi jak płatna dworka przyjmująca chwilowe uściski milionowych kochanków. Ty jeden Tobiaszu zo-

stałeś mi jeszcze. Gdyby nie ten malenki węzełek łączący mię z ziemią o! jakbym już dawno nie był na niej!

Ta mowa zdziwiła siostrzeńca, bo wuj bywał zwykle oziębły i zamknięty sam w sobie, politowanie obudziło się w jego duszy i łzy stanęły w oczach.

— Ach! wuju! rzekł po chwili— i mój los do twego podobny; gdybym ciebie utracił, cóżbym miał na świecie?

— Kochankę! odparł Suchy z uśmiechem ironicznym.

— Bogdajbym nie był prorokiem!

zawołał młody Tobiasz z smutnym zapałem spuszczając głowę na piersi — ale kobieta! kobieta jest kwiatkiem, którego kolory lada promyk słońca odmienia, nowość silnie ją uderza, przeszłość ginie w morzu pamiątek, a przywiązanie słabnie w jej sercu powoli i pęka! na wieki!

— Dziwi mię ta mowa! z twoich ust Tobiaszu — zawołał Sucby wpatrując się w niego i jakby chciał wybadać, czyli szczerze mówił. Ach! i ty już znasz kobiety — nie z doświadczenia — ale z przeczucia!

Umilkli i stali smutni, ale ich

smutek przelany z serca do serca ulżył ciężaru obudwóm, i unosił się z lekka nad ich głowami, jak mgła jesienna, za którą jaśnieje, pogodne słońce.

— Patrz! zawołał nareście Suchy widząc nadbiegającego Ruperta, ta mała poczwara, którą podobało się Bogu, zlepić z samej żółci i jadu, zobaczym jak się łasić będzie, aby pokryć wewnętrzne uczucia.

To mówiąc Suchy przybrał spójrzenie ostre i poważne, a Rupert jak tylko ujrzał Tobiasza, zmarszczył się i spuścił z tonu o pięć procen-

tów — chciał uniknąć spotkania — ale niewypadało raptem z drogi się zawrócić — chciał minąć dom, ale go Suchy zatrzymał.

— Dokąd bracie?

— Na Karmelickie mogiłki.

— Czy nie wstąpisz do Majstra?

— Może — nie — bo — bardzo mi spieszno.

— Jeszcze nie późno — chodź z nami.

Rad nie rad poszedł Rupert, a idąc, mruczał jak niedźwiedź pod nosem. Zbliżając się do izby Majstra, usłyszeli wielki hałas, krzyk, za-

mieszanie! Wchodzą — co za widok! Hersylia z załamanemi rękoma stoi w pośrodku izby, Majster z wyrazem rospaczy na twarzy zagląda w próżną jakąś szkatułę będącą na stoliku.

— Cóż to ci panie Majstrze? zapytał Rupert.

— Ach! dajże mi się przynajmniej wypłakać spokojnie, wrzasnął zagadniony — czyli wylać łzy spokojnie, albo spokojnie zalać się łzami...... nie dokończył biedak, bo spójrzawszy na szkatułkę znowu lamentować zaczął.

Tobiasz zbliża się do Hersylii — Cóż to twemu stryjowi?

— Skradziono mu pieniądze — odpowiedziała z cicha — a na mnie cała bieda!

— No! Majstrze nie bądźże dzieckiem, odezwał się Suchy, czy to tak wielka szkoda jaka?

— Ach! nieopisana, niewypowiedziana, nieokreślona, niezadeterminowana szkoda — odpowiedział nareście Majster utuliwszy się cokolwiek. Tej przeklętej nocy, kiedy to...... chodziłem z wami, i do domu mnie nie puszczono, w której

utraciłem rozum, reputacyą.... trzebaż było na dobitkę, abym jeszcze utracił 50 kop groszy pragskich. Złodziej wkradł się do mego domu nocą, i wydarł je z mego ojcowskiego łona.... O! łotrze przeklęty! chyba nie ma sądu i sprawiedliwości, jeżeli cię nie powieszą — co mówię? jeśli cię nie poćwiertują, nie spalą, nie odrą żywcem ze skóry, nie oskubią, nie pogruchoczą ci kości — nie,... tu mu tchu zabrakło i stanął zadyszany i najeżony — zły jak opętaniec, rzucając na przytomnych ogniste spójrzenia.

— Czyż to już ostatek twoich pieniędzy? rzekł ciesząc go Suchy, w którego mowie przebijała się ironia, tak skryta, że jej Majster, ani się mógł domyślić — a ówże kufer wczorajszy?

— To — swoją drogą — odezwał się Majster płaczliwie, a to swoją — ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka — 5o kop groszy pragskich! pragskich bitych groszy! mój Boże! gdybym je pożyczył jakiemu roztrzepańcowi, na dobry fant jaki — miałbym z nich piękny dochod!

Wszyscy ruszyli ramionami —

nawet Rupert chciał się uśmiechnąć, i otworzył już nawet gębę, ale w połowie uśmiechu, spójrzał na Tobiasza — gniew zawrzał w sercu i uśmiech niedokończony skonał na wargach.

— Jakże to przecie było? Panie Majstrze? zapytał Rupert.

— Oto tak — odpowiedział Bartłomiej — ten kochany pieniądz mój — tu łzy otarł rękawem — gorzko zapracowany — znowu rękaw wypełnił powinność — stał w tej szkatułce koło okna. Owej to przeklętej nocy, kiedy musiałem dzwonić zę-

bami pod bramą własnego domu, raniej jeszcze odemnie zapukał ktoś, odezwał się moim głosem, Hersylia otworzyła ale ona mi to przypłaci.

— Cóż ja....

— Milczeć! przerwał Majster, chcącej się usprawiedliwiać Hersylii — on poszedł do mego łóżka — umf! co za zuchwalec — do mego! łóżka! odesłał Hersylią do łóżka swojego na górę — to jeszcze wielkie szczęście, że to być musiał jakiś lis stary nie łakomy na dziewczynę — sam zaś położył się na mojém łóżku! o zgrozo! kiedy ja pukałem do bra-

my, on okno otworzył, wyłajał mię, groził sądem Ławeckim i kiedy ja — o zgrozo! spałem na ławie przed domem — on wylęgał się na moim materacu — o zgrozo! i rano wysunął się z memi pieniędzmi — o zgrozo! dziś dopiero opatrzyłem się, że mnie okradł ten bezczelnik — bo kiedy, swoim zwyczajem chciałem jak zawsze czynić, raz w tydzień, przeliczyć moje szczupłe zbiory — patrzę! nie ma! ach! nie ma! próżno! mało nie zwarjowałem — mój Boże — czémże jest wielkość ludzka! z tej pełnej szkatuły, dziś czcze tylko miejsce

pozostało! ale łotr przypłaci mi to — są sposoby na jegomości — są! o! są! Majster Bartłomiej nie osioł, nie bałwan, okpić się nie da! oho! ho! nauczę ja go, co to jest kraść pieniądze moje — i spać całą noc na moim materacu! Pięćdziesiąt kop groszy Pragskich! zdaje się summa poważna, i na nią ośmielił się podnieść świętokradzką rękę!' oh! już dziś nic, jak widzę, nie ma świętego na świecie!

— No! dosyć lamentu! przerwał Suchy, całe życie przecie lamentować nie można — to drobnostka!

— Otto! drobnostka! przerwał

z zapałem Majster, piękna mi drobnostka — 5o kop groszy!

Rupert przez ten cały czas, jak trwała rozmowa, spoglądał złośliwie, to na Hersylią, to na Tobiasza; najzawziętsza zapalczywość w nim wrzała, a plany zemsty snuły się już po głowie — Rupert był obrótny, i zręczny, kiedy szło o dokuczenie komu.

Suchy tymczasem, pełen politowania, nad obłąkanym skąpcem, nie chcąc dalej być natrętnym, skłonił się, dał znak Tobiaszowi, i wyszli obadwa.

Jak tylko kilka kroków odeszli, Tobiasz odezwał się do wuja.

— Prawdziwie — trudno pojąć to dzikie przywiązanie do pieniędzy, tak daleko posunięte.

— Jak pojąć? przerwał Suchy— najłatwiej! Pojmujesz zapewne, że serce ludzkie szuka przedmiotu do któregoby się przywiązać mogło. Jest to dla niego potrzebą nieodbitą. Jeden się przywiązuje do kobiéty— głupiec! łapie cień znikomy! drugi oddaje serce rozpuście i roskoszom!— to mija! inny chwyta się dostojeństw— serce jego siedzi w po-

kłonach — to ślepy! — ów zaś nakonicc chwyta złoto, garnie go, porywa, zbiera i na cóż? żeby nań popatrzał, przeliczył i schował — jest to jedwabnik owijający się nicią kosztowną, której cenę, życiem przypłaci! Przyjacielu! złoto, kobiety, honory, są to rzeczy, które nas bawią, porywają, ale nas tak łatwo porzucają, jak owoc drzewo, na którém dójrzał!

— A cóż kochać mamy? zapytał Tobiasz.

— Nic! odpowiedział stanowczo i żywo Suchy, zamknij się w sobie—

siebie nawet nie kochaj! bądź martwy na wszystko! a ta oziębłość, to uśpienie lepszém ci będzie, niż drażnione ustawnie, odzyskiwane i tracone szczęście.

— Więc tylko jedną muzykę kochać można! rzekł Tobiasz.

— Tak! z ironią odpowiedział Suchy, poznałem cię, ty jeszcze musisz kochać cokolwiek— kochaj więc, kochaj, ale czas przyjdzie kiedy cię próba nauczy— kiedy uschną wysilone uczucia — i ty będziesz takim— jak ja!

VI.

— Mościa Panno! mówił Majster Bartłomiej do synowicy, dziś z południa będziemy mieli gościa — włożysz Mościa Panno suknią z anszkotu z ruchem, której materyi łokieć płaciłem po dwanaście groszy; obszytą antularzami. Włosy w forki ułożyć trzeba, zawiesić śp. matki perły i kanaki, obuć się w kurdybanowe trzewiczki, wziąć półpłaszczyk bayborakowy — chomle, złote

fereciki .... niezapominać, ażeby koło pięści obszyć piękne forboty, którem ci niedawno podarował — słowem, moja Panno — ustroj się jak łątka.

— Na cóż te ceregiele? stryjaszku.

— Bo — będziemy mieli młodego gościa — Wojewodzica, który Waćpannę ongi z okna widział i upodobał, a gdybyż się ożenił? bogaty! hę? .... młody .... hę?

— Ja za niego nie pójdę.

— Ja się o to nie pytam — jeżeli mi się podoba, jeśli sypnie pieniędz-

mi, to cię wezmie — już ja mu za to ręczę.

— Ależ to przecie odemnie zależy!

— Bynajmniej, bynajmniej — kobieta nie ma swojej woli, i mieć jej niepowinna — kobieta nie wie co dla niej jest złém, a co dobrém. Hę? czy rozumiesz — czyli — zrozumiałaś li mnie? albo, czyliś mnie pojęła?

— Nie.

— Jakto *nie?* co to, *nie?* hm! *nie?* Powtarzam — będzie tu dziś Wojewodzic, bogaty, djable bogaty, jeżeli się w tobie rozmiłuje i żenić zechce—

łup, cup — we dwa dni jesteś panią, a ja — twoim najniższym sługą, czyli....

— Kiedy już tak daleko zaszliśmy, odezwała się Hersylia poważnie, pozwolisz mi sobie powiedzieć stryju, że nie masz żadnego prawa moją ręką rozrządzać.

— Jakto? niewdzięcznico? co mówisz? coś wyrzekła? czyli....

— Oto Herburtowski statut — który ci za odpowiedź stanie, mój stryju — rzekła podając pięknie oprawne, polskie tego statutu wydanie z roku 1570.

Bartłomiej nie spodziewał się, tak energicznego oporu, spuścił więc nieco z tonu i pokorniej zaczął mówić.

— Ale bo — moje serce, czyli — albo — moje serce! powinnaś mieć w pamięci, ile mię kosztowało twoje wychowanie.

— Delikatna to sprawa, ale i to przypomniećby sobie należało, że summa zostawiona po śp. matce.

— Jaka summa?

— Złożona u stryja dla mnie — mój posag, z którego się dotąd utrzymuję. Jeżeli więc naraziłam stryja

na jakie koszta gotowam je wrócić, wdzięczną jestem za jego starania, ale ślepo posłuszną być nie mogę— gdyż niechodzi tu, o chwilę, ani o godzinę, ale o szczęście życia całego.

— No! no! dosyć! dosyć —idź się tylko ubieraj! Jaki filut z dziewczyny! no proszę! paple jak drugi prokurator.

Z południa kolasa zaprzężona dwóma końmi siwemi z grzywą i ogonem ponsowym, zatrzymała się przed domem, a z kolasy wysiadł młody człowiek w bogatym hiszpań-

skim stroju, który był wówczas najmodniejszy.

Lekka fioletowa tunika w złote gwiazdki miotana okrywała go, biała jak mleko kreza, filuternie karbowana wznosiła się około szyi, u boku wisiała sadzona diamentami szpada, na szarfie białej ze złotem — u bótów połyskiwały z czystego złota ostrogi, u kapelusza powiewały strusie białe pióra, osadzone w świetnej, ognistej sprzążce diamentowej — a płaszcz z najcieńszego bisioru, kończył ten wytworny ubiór.

Twarz młodzieńca, była cudnie

piękna, pełna ognia i żywości, a pukle czarnych włosów drogą wonią zlane, spadały na ramiona. Za nim z kolasy wysiadła mała garbata figurka, był to Rupert, w aksamitnej todze, w sobolej czapce, z pierścieniami na wszystkich palcach, z łańcuchem złotym na szyi.

Bartłomiej pokazał się zaraz we drzwiach, w świątecznym seledynowym kuntuszu, w kanarkowym żupanie, z karabelą, z czapką pod pachą, w zielonych botach, i wśród tysiącznych ukłonów, na które dumnym uśmiechem, klepiąc go po ra-

mieniu, odpowiedział Wojewodzic, wprowadził go do komnat.

Zdaje się, że nikt nie wątpi, że Wojewodzic ów jest tym przerobionym starcem, który się tak nagle w młodego przeistoczył.

— Dalibógże — szepnął Majster Bartłomiej Rupertowi, niespodziewałem się, żebyśmy go, tak pięknie wykfalifikowali!

Rupert uśmiechnął się tylko — a Wojewodzic wziąwszy się w boki, wszedł dumnie na salę. Hersylia jaśniejąca wdziękiem własnym i ozdobą stroju, siedziała nad księ-

gą, niedbale sparta o stolik. Wojewodzic spójrzał, uśmiechnął się i daleko weselej, daleko pokorniej postąpił naprzód, skłonił się i usiadł przy drugim stoliku.

Rozmowa zaczęła się sobie, jak zawsze, od deszczu i pogody, a Majster z Rupertem wyszli zaraz zostawując ich sam na sam.

Trzeba było, być grzeczną dla gościa; ale Hersylia nie umiała udawać, a kiedy serce jej było oddalone od niego, a zamiary Majstra czyniły ją niespokojną, nieumiała ukryć swej oziębłości i odpowiadała tylko.

Tak! nie! na wszystkie jego pytania. Wojewodzic nie przywykły, do takiego obchodzenia się z sobą, krzywić się zaczął, kiedy Tobiasz z surową miną wszedł do komnaty, skłonił się bardzo nieznacznie gościowi, i pocałował rękę Hersylii, której twarz rozjaśniła się widocznie. Wojewodzic był jak na szpilkach, i im dumniej spoglądał na muzyka, tem muzyk pogardliwiej z nim się obchodził. Nareście Tobiasz usiadł przy kochance i zaczął z nią pocichu rozmawiać, a Wojewodzic zo-

stał się sam jeden, nie mając do kogo słowa przemówić.

— Robota około odbudowania zamku idzie śpiesznie — rzekł Wojewodzic usiłując zawiązać rozmowę.

— Dosyć — odpowiedziała Hersylia.

— Słychać, że X. Biskup niebezpiecznie jest chory.

— Tak powiadają.

Nastało milczenie — młodzieniec zacierał czoło, pocił się, jeździł oczyma po suficie i nakoniec się odezwał.

— Królowa jutro wyjeżdża do Warszawy.

— Być może.

— Słychać o jakichś w Litwie zaburzeniach.

— Słychać.

Znowu milczenie, znowu niecierpliwość ze strony Wojewodzica, a szepty między kochankami. Tak zeszła godzina, po której Bartłomiej wszedł z Rupertem i twarz obu zachmurzyła się, kiedy zobaczyli Tobiasza rozmawiającego z Hersylią, a Wojewodzica siedzącego sam na sam, zlanego potem, pełnego gniewu i złości.

Tobiasz powitał Majstra, ale Maj-

ster zimno na ukłon odpowiedział; spójrzał potém ostro na Ruperta, a mała poczwarka skryła się za brzuch P. Bartłomieja dla assekuracyi.

— Waszmość już tu zapewne, dawno być musisz znajomy? zapytał po chwili ostro, Wojewodzic Tobiasza.

— Nieco dawniej od Waszeci — odpowiedział dumnie muzyk.

— Proszę, z większém uszanowaniem — rzekł z cicha i tchórzliwie Rupert — to P. Wojewodzic.

—Twojej fabryki zapewne? z przekąsem zawołał Tobiasz.

Rupert zbladł jak chusta, a Wojewodzic postąpił ku pytającemu z ręką na szpadzie — Co to się ma rozumieć? zapytał.

— To się rozumie — odpowiedział z zimną krwią Tobiasz, że Waszmość w tym domu jesteś niepotrzebny — kobieta, o której względy się starasz, gardzi tobą.

— Któż ci powiedział, śmiałku, że się staram o względy kobiety?

— Kto? twoje oczy — twoja mowa — twój gniew nakoniec. Rupert postąpił ku Wojewodzicowi i szep-

nął mu na ucho — Daj mu pokój— to zuch, zemścim się inaczej!

Majster Bartłomiej tymczasem widząc, że burza się zbierać zaczyna, gotował się, dla uspokojenia, cóś arcy-rozumnego powiedzieć i ozwał się nareście.

— Hm? Mości Panowie! na co ta kłótnia? czyli!

— A Waszmości co do tego, odpowiedział opryskliwy Wojewodzic.

— Mnie?— z podziwieniem i strachem bęknął Bartłomiej — ach! prawda! przépraszam! jaki ja głupi! prawda, mnie nic do tego — Pan

masz słuszność — i owszem, proszę się kłócić, już ja będę milczał.

Gdy się to dzieje, Hersylia znikła; a Rupert ufny w odwadze Wojewodzica, żywo kłócić się zaczął.

— Waszeć tu — rzekł do Tobiasza — chcesz Pana udawać — Mości muzykusie — idź precz! a godniejszym ludziom nie zawalaj drogi!

— Ej ostróżnie! ozwał się muzyk z krwią zimną — ja cierpię, ale ukarzę — czy dawno wylazłeś z szafy?

Na wspomnienie szafy Rupert zbladł — westchnął głęboko i skrył się. Wojewodzic tymczasem kłócić

się zaczął, a Bartłomiej stał we drzwiach, gotując się do rejterady, w razie potrzeby. Jakož nie omylił się cale w domysłach, bo wkrótce Tobiasz chwycił Wojewodzica za kark i prowadził do drzwi. Bartłomiej z wielką flegmą, bardzo naturalnie unikając tumultu drzwi otworzył. Ztąd kłótnia z Rupertem. W kwadrans sobolowa czapka Ruperta, była już na podłodze, Wojewodzic leżał potłuczony na gorzkie jabłko pod schodami, sam zaś Rupert nękał jeszcze tłustego Bartłomieja; kiedy Tobiasz uwolniwszy się

już od Wojewodzica, przyszedł na pomoc Majstrowi, chwycił Ruperta i zrzucił go ze wschodów za Wajewodzicem. W tej przeprawie z wysokości na nizinę oba podróżni potłukli się należycie, i ruszyć się nie mogli. Rupert jęczał jakby go ćwiertowano, Wojewodzic stękał jak żelazo pod młotem. Bartłomiej zaś bardzo niezgrabnie dziękował swemu wybawicielowi, poprawując kapotę i pas, nadwerężony szamotaniem się.

— Gdybyś WMość nie nadszedł, byłby mi wydarł resztę włosów z głowy — no! proszę, tylko patrzaj

Waszmość, oto — siniak — o! guz, o! a co tu włosów na ziemi, a wszystko z mojej głowy! umf!

— Bo, na co Waszeć, takich gości do domu przyjmujesz.

— Ale — bo to ja miałem, widzisz Jegomość, niektóre pieniężne widoki — ale teraz — ho! ho! ho! chyba mi się dobrze opłaci, to go tu puszczę — a inaczej nogą tu niepostanie — Wojewodzic zaś! ale — a gdzież P. Wojewodzic.

— Leży pod schodami.

— Um! szkoda! o! to bogaty.człowiek — trzeba go było jakoś delikatnie.

— Dosyć delikatnie, potoczył się jak baryłka!

VII.

Roku 1625 w samo porównanie jesienne, to jest: w lat pięć po wypadkach opisanych na początku — lud, mieszkańce, ormianie, żydzi, wiśniacy z okolic cisnęli się na rynek. Dzień był dżdżysty, pochmurny— a jednak ulice pełne były ludu, naokoło w oknach, na dachach, na kominach czepiali się ciekawi — a na rynku wznosił się stos drzewa i

słup w pośrodku, do którego winowajca miał być przywiązany.

Męszczyzna suchy, blady, chudy i wywiędły, stał na ustroniu okręcony płaszczem i w milczeniu rzucał naokoło spójrzenia pełne ognia i powagi.

Nieco dalej widać było młodego męszczyznę i piękną kobietę zapłakaną, z dziecięciem na ręku. Ta para zbliżała się właśnie ku miejscu gdzie stał wymieniony męszczyzna, kiedy młody człowiek krzyknął z podziwienia i rzucił się na szyję chudemu.

— Ach! wujaszku! zawołał, po tak długiej niebytności, w jakąż chwilę okropną przybyłeś do Krakowa. Czy widzisz ten stos, to pospólstwo.

— Niestety! przerwała młoda kobieta z płaczem, to mego stryja oczekują tylko, to dla niego zgotowano.

— Co? zapytał Suchy— o cóż go obwiniono?

— O czary! rzekł westchnąwszy młodzieniec—pieniądze nadewszystko cenił i te go zgubiły. Podjął się jakiejś przeklętej roboty, której na-

wet pojąć nie można, ubił jakiegoś starca i skazano go na śmierć!

— Biedny człowiek! rzekł Suchy westchnąwszy, a czy nie możnaby się z nim widzieć?

— Tylko co od niego wracamy— odpowiedział smutnie młodzieniec— teraz posłano szukać księdza, ale nikt się niechce podjąć spowiadać go, przystąpić nawet do niego każdy się lęka.

Oczy Suchego zajaśniały nagle dzikim ogniem radości.

— Do zobaczenia — rzekł—bądź zdrów Tobiaszu — i ty moja pani—

idźcie spokojnie do domu — przygotujcie obiad, przyjdę do was z twoim stryjem. To powiedziawszy oddalił się szybko, przeleciał dwie ulice, wszedł do odosobnionego domku i po kilku minutach wyszedł z niego w sukni pielgrzymskiej z paciórkami u pasa, boso, w grubym habicie, z kosturem w ręku. Wyszedł zbliżył się do tłumu, a lud ustępował mu miejsca z pokorą — wszyscy na niego tylko mieli zwrócone oczy; niektórzy prosili o błogosławieństwo, inni, całowali szaty — i wkrótce

pielgrzym zajął całą uwagę, a na stos nikt prawie niepatrzył.

Pielgrzym przecisnął się przez środek tłumu, i bez przeszkody stanął u bramy więzienia, które wychodziło na rynek— zapukał i wszedł mówiąc, że idzie spowiadać winowajcę. Ustąpiono z drogi, Suchy stanął w małej izdebce, oświeconej jedném kraciastém oknem, w której na kulu słomy, leżał szlochając Majster Bartłomiej.

Izdebka była ciasna, wysoka, mury składające ją czarne i pleśnią okryte, okno wąskie i długie pa-

trzyło na ten grób przyćmionem okiem. W kącie leżał kul słomy, na nim Majster zwinięty w kłębek, przy nim, dzban i para sucharów.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — odezwał się wchodząc Suchy.

— Na wieki! odpowiedział grobowy głos z kąta więzienia, a mury puste jęknęły także — na wieki!

— Grzeszniku, mówił dalej Suchy — wstań, odziej się, i proś Boga o przebaczenie.

Płacz tylko odpowiedział na to wezwanie — Suchy nakoniec zwy-

kłym sobie głosem odezwał się — no! Mąjstrze! wstawaj i chodź ze mną— czyli to mnie już niepoznałeś?

— Ach! znam cię na moją biedę — ty człowiecze, który niegodziwemu Rupertowi dopomagałeś w jego psich sprawach, niezwiedziesz mię więcej.

— Słuchaj— Majstrze — powtórzył mocniej Suchy— czas upływa— jeżeli mię słuchać nie będziesz, zginiesz nieomylnie.

— Na co mnie życie— na co mnie życie, zawołał Bartłomiej, kiedy moje pieniądze sędziowie rozkradli.

— Nie czas teraz myślcć o pie-

niądzach — przerwał Suchy — idź za mną.

Bartłomiej podniósł nieco głowę ze słomy i płacząc zawołał — Więc ciebie przeznaczono, żebyś mię na śmierć prowadził!

— Ale mówię ci i powtarzam raz ostatni, tonem nakazującym rzekł Suchy — idź ze mną — a o resztę nietroszcz się cale, będziesz miał życie i — pieniądze!

— I pieniądze! wykrzyknął porywając się z kąta Majster—idę, idę.

— Jeszcze słowo — rzekł Suchy, biorąc go za rękę— przez całą drogę

aż do domu, do którego cię zaprowadzę, ani słowa nie waż się mówić — bo zginiesz.

— O! będę milczał — rzekł Majster Bartłomiej — jak posąg, jak kamień — Gdy to kończył mówić, mniemany pielgrzym wyszedł z więzienia i dał znak pachołkom, że czas więźnia prowadzić. Bartłomiej półżywy, ale milczący, mocno się dziwił, że go straże przepuściły, a lud z uszanowaniem korzył się przed jego towarzyszem. Szli tedy spokojnie — Suchy wprowadził go do ja-

kiegoś domu i otworzył okno, mówiąc.

— Patrz Majstrze!

Bartłomiej postąpił do okna — Lud wydawał okrzyki — na rynku ukazał się Rupert w aksamitnej sukni i Wojewodzic; szli naprzód jako oskarżyciele, za nimi pachołcy jakąś grubą prowadzili figurę.

— Ach! dalibóg— krzyknął zdziwiony Majster — toż to mnie na stos prowadzą — niech mię piorun trzaśnie — patrzaj, patrzaj — ten sam nos — oczy, gęba, ręce, sknia, ten sam brzuch! co to jest! toż to ja!

i to ja! rzekł macając się po brzuchu!

— Cicho, cicho, przerwał Suchy — tamtego spalą — jest to tylko kul słomy, na którym spałeś — a ty będziesz cały — patrz uważnie.

Bartłomiej z wielkiego podziwienia oczom swoim niewierzył: wprowadzono jego postać na stos, a Rupert i Wojewodzic zachęcali lud do podkładania ognia — zapalono wreście, ale dla wilgoci ugasło wkrótce; nakoniec po wielu próbach buchnęły płomienie, objęły spód stosu — a postać uwiązana u słupa przemie-

niła się w kul słomy — Lud żegnał się, i padł na kolana z podziwienia.

— Czary! czary! wołano zewsząd— wybiegli księża kropić wodą święconą — stos płonął powoli, a kul słomy stał nieporuszony.

W kilka godzin nareście spłonął i on, a na rynku została się tylko kupa popiołu.

— Teraz idź do źwierciadła — odezwał się Suchy do Majstra — Majster był posłuszny jak dziecko, spójrzał i rozśmiał się głośno.

— Cha! cha! cha! podobniuteńki teraz wyglądam jakoś do niebo-

szczyka brata mego! ale jakim u licha sposobem takem się odmienił? Niespokojność go opanowała, chodził ciągle do źwierciadła, kładł rękę na czole, ustach, twarzy, macał się, oglądał i mruczał — Czy to ja, czy to nie ja? hm! zdaje się ja? (tu spójrzał w lustro) nie! to nie ja. A! rozumiem nakoniec, rzekł sam do siebie — odmieniło się moje powierzchowne *ja*, ale wewnętrzne *ja* zostało jak było!

— Chodźmy teraz do twojej synowicy, rzekł Suchy— czekają nas z obiadem.

— Idę, ale niepojmuję, jak ja potrafię chodzić mego brata nogami, gadać jego gębą, mąchać jego rękami!

Umilkł Majster nareście i szli w zamysłach— mijali rynek, na rynku już było niewiele ludu, kilku tylko namiestników tam i ówdzie gawędziło o spalonym czarnoksiężniku z nadzwyczajnemi dodatkami; a pachołcy zmiatali popiół z rynku do wykopanego dołu. W godzinę zaś Kraków był znowu cichy i milczący.